Nº 39.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Świata Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 15 (27) Września 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu u* Budkiewicza księgarza.

AUGUST WILKOŃSKI.

Jedną z najwydatniejszych postaci w dziejach literatury naszéj, lecz w krótkim, bo tylko ośmioletnim peryodzie czasu (od r. 1840 do r. 1848 był), Augustyn Wilkoński, sławny humorysta, czyli jak się sam na dziełach swych podpisywał „Au. W. Chirurg filozofii i naturalnego krzyża kawaler.“ Pomimo że Wilkoński nie był ani wielkim poetą, ani sławnym uczonym, ani nawet rozgłośnéj sławy autorem, przecież mało jest pomiędzy literatami ludzi, o których by tyle, w lat 20 po zgonie ich, pozostało wspomnień żywych, a mniéj jeszcze dzieł jest, *ważniejszych* nawet, któreby obudziły spoczątku tyle zajęcia, zaś zachowały tak długo całą swoję popularność pierwotną, jak owe „Ramoty i Ramotki“ tak rzeczywiście dowcipne, a tak silnie tendencyjne zarazem.

Do roku 1840 nikt tu, w Warszawie przynajmniéj, nie słyszał o Wilkońskim, chociaż wówczas już liczył on lat 35 blisko. Z téj ciszy i zapomnienia, wydobyła przyszłego tak sławnego humorystę, jedna skromniuchna rozmiarem, zamieszczona w „Bibliotece Warszawskiéj“ Ramotka p. t. „Wspomnienienie Szkolne“ i druga nie bawem po niéj idąca „Mówka pogrzebowa.“ Dwie te perły prawdziwego dowcipu i to dowcipu rodzimego, pachnącego miejscowością, niezapożyczonego ani treścią, ani pokrojem z żadnéj innéj narodowości, — odrazu dały Wilkońskiemu rozgłos ogromny.



August Wilkoński.

Jako naoczni świadkowie, dziś jeszcze mamy w żywéj pamięci, jakie to prawdziwe *gady* umysłowe wyprawiał ś. p. Wilkoński, ilekroć w seryi Biblioteki Warszawskiéj sam odczytywał świeże, przeznaczone dla tego pisma „Ramotki.“ Podczas czytania jednéj z nich, zda się, „Państwo Durniewscy,“ w poważnem gronie redaktorów i gości tego poważnego i wtedy jeszcze wielce konwencyonalnego organu, zapanował, pomnimy, śmiech tak serdeczny, tak wezbrany i tak niepowściągniony niczém, że trwał podczas całego, do trzech kwadransów może ciągnącego się odczytu, głusząc głos autora przez coraz nowe i coraz silniejsze wybuchy. Istotnie, Wilkoński posiadał rzadki rodzaj dowcipu; nie zależał on bowiem na frazesach lub dwójznacznikach, jak dowcip francuski, ani na efektach naciąganych, jak koncept niemiecki, lecz raczéj na głębokiéj znajomości pewnéj warstwy społeczeństwa, mianowicie zaś obywateli miejskich, na przenikliwości umysłu i szczególniejszym darze chwytania spotkanych śmieszności tak żywo i tak, rzecby można, na gorącym uczynku, iż zdawało się, że osoby, które ów Chirurg filozofii do ramotek swoich wprowadzał, musiały żyć istotnie i same przed nim żywym głosem wypowiadać swoje śmieszności.

Wilkoński, jak to już powiedzieliśmy, nie był znanym w Warszawie do roku 1840, w którym się tu wraz z żoną, znaną w literaturze Pauliną z Z. Wilkońską, przesiedlił.

Urodził się on w W. Księstwie Poznańskiem, d. 28 Sierpnia 1805 roku, we wsi Kąkolowie pod Lesznem. Do szkół chodził w Poznaniu, a stamtąd, po ukończeniu gimnazyum, słuchał wykładów uniwersyteckich przez lat dwa we Wrocławiu. Od pierwszéj zaraz młodości, przyszły Ramotkarz odznaczał się wielką żywością charakteru, bystrością pojęcia i wesołością wrodzoną — a że był przytém odważnym, koleżeńskim i szlachetnym w postępowaniu, przeto zyskiwał sobie łatwo powszechną sympatyę. W młodości jeszcze Wilkoński odbył pojedynek, który w swoim czasie wielkiego hałasu narobił—wystąpił był on wtedy w obronie swego przyjaciela. Później przez czas jakiś służył w wojsku, a nawet kilkakrotnie był ranny. Ożenieniu się naszego humorysty, także niezwykłe towarzyszyły okoliczności, gdyż na ślub własny przyjechał z fortecy, w któréj był więziony, (przyjechał, rozumie się za zezwoleniem władzy) i zaraz po zawarciu małżeństwa wraz z nową zaślubioną żoną do kozy powrócił.

Później już Wilkoński, stęskniony do swego brata Klemensa zamieszkałego w Królestwie, przesiedlił się tutaj i spoczątku probował zawodu rolnika, gospodarując na dzierżawionych dwóch z kolei wioskach: Garbatce, pod Czarnolasem (Kostanowskiego) i Tymicy — lecz wkrótce, przekonawszy się, że zawód rolnika nie odpowiada jego powołaniu a może także zachęcony radami przyjaciół, którzy w jego ulotnych utworach, najczęściéj listach obficie spisywanych, dostrzegli talent, postanowił przenieść się do Warszawy, w któréj też istotnie od roku 1840 zamieszkał stale.

Wspomnieliśmy już jakie wrażenie wywołały pierwsze zaraz tak zwane „Ramotki Literackie“ Wilkońskiego, szczególniéj też obywatele prowincyonalni czyli tak zwana potocznie „szlachta“ któréj śmieszności, pretensye i wady, nieboszczyk Chirurg filozofji, operował ostro, zjeżdżała się prawie do Warszawy dla obejrzenia tego nieubłaganego satyryka, który jednakże swoim dowcipem

czysto rodzimym, pachnącym rolą i solą i śmiało postępową dążnością, za serce chwytał.

Dom Wilkońskich był nadzwyczaj przyjemnym — pomimo niezamożności, często nawet graniczącéj z niedostatkiem acz chwilowym, — zawsze tam zbierało się wiele osób. Szczególniéj też z literackiego i artystycznego świata wszystko, co było zdolniejsze i żwawsze, zdążało do tego, tak zwanego, „wujaszka literackiego“ na wesołą gawędkę i na fajeczkę skromnego *gelb wirginjen.* (*)

Były to często bardzo ożywione i nadzwyczaj wesołe posiedzenia — zwłaszcza, gdy młodzież literacka, przeważnie tam przesiadująca, rospoczęła wspólnie z Wilkońskim i jego żoną pisać „powieść składaną,“ która jednakże niedokończona, przerwana okolicznościami, zapewne gdzieś w manuskrypcie pozostała. Do pisania téj powieści klejonéj z rozdziałów odrębnych, improwizowanych w dalszym ciągu, bez żadnego poprzedniego planu, przez kilku autorów, należeli oprócz obajga Wilkońskich, ś. p. J. B. Dziekoński, (autor Sędziwoja), J. Miniszewski, W. Wolski. T. Lenartowicz, J. Kenig i A. Niewiarowski. Ciż sami także, młodzi podówczas literaci, składali tak nazwany „cech głupców,“ który właśnie niczém się nie zatrudniał a był jedynie reminiscencyą uniwersyteckich ekscentryczności że jednak Wilkońscy dawali skromniejsze lub sutsze kolacye, wedle stanu kieszeni „literackiego wujaszka“ i że członkowie owego ironicznego *cechu*, wszyscy prawie owcześnie mieli wielki apetyt a małe dochody, — więc też posiedzenia odbywały się wesoło i reguralnie, a podczas każdéj z takich seryj, jeden z *głupców*, skolei jako dyżurny, musiał do przeznaczonéj na to księgi wpisać kartę „głupstw“ samych. Z tych to jednakże posiedzeń, na które sczasem przybywało wiele osób postronnych, znęconych wesołością towarzystwa i ekscentrycznością jego członków, powstała następnie redakcya „Dzwonu Literackiego,“ do którego jednakże nie wszyscy z członków *cechu* współpracowali, a natomiast wspierało go wielu innych literatów, pomiędzy którymi także L. Zeiszner, J. Paszkowski, Prof. Jastrzębowski, Oskar Kolberg, Juljan Bartoszewicz (pod nazwą Łomnickiego), Karol Baliński, Wincenty Smokowski jako illustrator, W. Wójcicki, F. H. Lewestam i wielu innych się znajdowało.

Wilkoński sam wydał dwukrotnie zbiór swoich Ramot i Ramotek w latach 1844 i 1845 — wyszło ich tomów cztery—pierwszy ozdobiony humorystycznymi drzeworytami Smokowskiego. Na czele zaś tych, w swoim rodzaju arcydzieł dowcipu, położył następującą, widocznie już tendencyjną dewizę:

„W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją w ciąż pił;
Raz tylko jeden na mojém niebie,
Promień radości jasno się lśnił.“

Obok téj wziętéj z wysokich sfer poezyi dewizy, jaskrawo i sarkastycznie odbijała dedykacya tych Ramotek, ułożona nader dowcipnie, a ofiarowana jakoby starozakonnemu lichwiarzowi, Janklowi Magenfisz. Oczewiście Wilkoński chciał nazwiskiem takiego fikcyjnego protektora literatury ukłuć tych którzy, pomimo wielkich nazwisk i wielkich obowiązków, zupełną obojętnością dla literatury grzeszyli.

(Dokończenie nastąpi.)

(*) Wilkoński zawsze tylko ten gatunek tytuniu palił. A propos tego, przypomina mi się, że razu jednego, gdym do niego z listem posłał brata mego 13-sto letniego ucznia, ś. p. Chirurg, list przeczytawszy, zapytał owego młodzieńca „czy kawaler pali?“ A gdy uradowany taką poufnością gimnazyak odpowiedział twierdząco, Wilkoński zapytał go czy niema 10-ciu groszy na tytuń, gdyż on drobnych nie posiada w téj chwili. Szczęściem u studencika znalazła się dziesiątka, -- dostąpił téż zaszczytu wypalenia fajeczki w przytomności najdowcipniejszego, lecz jak na ową chwilę, najgolszego człowieka w Warszawie. (przyp. autora życiorysu).

SULAMITA.

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

II.

JONATAN.

O jakże tchnienia gorące
I ust twoich pocałunki
Upoiły zmysły moje!
Róży, słowików piastunki,
Świeże listki, co kwitnące
Ozdabiają lica twoje, —
Są dla méj duszy młodzieńczéj
Jako wina kryształowe
Urodzajnéj Idumei;
Jako wonie świeże, zdrowe
Tadmoru.. Barwami tęczy
Płonące kwiaty Chaldei,
Jasne wodnych fontann strugi
Pod pałacem Salomona,
Mniéj mają jasności —
Gołąbka czule uśpiona
Przy boku gołąbki drugiéj
Mniéj ma, niżli ty, wierności..

SULAMITA.

Mało mam blasku, ale kocham za to
I jestem, prawda, wierną dla kochanka..
On wabnych wdzięków i uroków szatą
Zdobi me ciało — on do listków z wianka
Róż, moje młode przyrównywa lica..
Kocham go! — Matka wprawdzie mi kazała
Strzedz swéj winnicy.. Co mi tam winnica!..
Kto godzien duszy, czemuż nie wart ciała?

JONATAN.

O nie, nie, ty nie znasz siebie
Moja Salumito droga!
Alboż piękniejszy od ciebie
Twór, wyszedł kiedy z rąk Boga?
..Salomon w swoim haremie
Ma sto kobiet, ma sto branek;
Pieści się niémi i drzemie
Śród nich, jedyny kochanek,
Cel ich marzeń.. Tysiąc innych
Zamkniętych w progach Seraju,
Piękniejszych od kwiatów maju,
Umiera od westchnień winnych,
Grzesznych i od żądz ku niemu,—
Ja mam tylko ciebie jedną,
W wdzięk bogatą, w złoto biedną,
Jednakże szczęściu mojemu
Nie zrówna los Salomona!
Ani jego miękkie łoża,
Ani drżące branek łona,
Ani całus ich palący,
Ni oddech upajający,
Ni uśmiech jasny jak zorza
Mnie do siebie nie przynęci..
Jedno ust twoich wejrzenie,
Jedno piersi twych westchnienie,
Namiętny ogień twych chęci,
Moja Sulamito droga!
Milsze mi są nad szkarłaty,
Nad to niebo, nad te światy,
Nad wszystkie te światy Boga!

SULAMITA.

O, jakiemż szczęściem dla mnie to kochanie!
Jakąż roskoszą każde słowo wieje
Z ust mego brata na mą duszę biédną!

Masz mnie więc! weź mnie, jak ot jestem, całą
W objęcia swoje.. weź, pieść, niech omdleję
Od pieszczot twoich, mój Królu, mój Panie!
Wszak piękność twoja zarówno mnie nęci —
Wszak nie tak jasny dla mnie promień słońca
I nie tak ciemne drzewo hebanowe,
Jak twa źrenica, — jak włosy, co głowę
Twą kryjąc, płyną i płyną bez końca.
..Bierz mnie! — twe słowa są dla mnie, jak leki..
Mnie tylko z tobą tak być i tak ciebie
Całować—pieścić—i kochać—i w niebie
Miłości twojéj śnić i żyć przez wieki,
Mój Jonatanie!..
Natrzéj mnie kwiatami,
Ciało me namaść olejkiem, wodami,
Co zmysły poją i.. pójdź na me łono!
I niech zasypiam objęta w ramiona
Twoje—niech piersi me przy twoich płoną—
Niech moje tchnienie w twojém tchnieniu kona —
I.. niech się budzę od twojéj piosenki,
Od ust twych dotknięć, od drżeń twojéj ręki,
Od szału twoich pieszczot, twoich chęci,
Śród ciągłéj, wiecznéj o tobie pamięci!!..

JONATAN.

Ciszéj, ciszéj, moje słońce,
Galilejska moja różo!
Twoim słowom echa wtórzą
I wiatr je na wszystkie końce
Téj doliny rozwiać może..
Ja się boję, aby ptaki
Nie słyszały głosu twego,
By go nie słyszało zorze,
Co po szkle nieba naszego
Takie barwne sieje szlaki..
By go nie słyszały wody,
Co ot niedaleko płyną,
Ni rosnące przy nich kwiaty,
Ani drzew tych las bogaty,
Ani te milczące trzody,
Ani cienie nad doliną..
Tego głosu twéj miłości
Niech mi jeden Bóg zazdrości—
Nie!.. niechaj i On nie słyszy..
Ciszéj, moje słońce!—ciszéj!..

SULAMITA.

Mamż głos podziwu tłumić, co mi płynie
Sam do ust z piersi niechcącym potokiem?
Mamże cię niemym tylko garnąć wzrokiem,
Podobna innéj Syońskiéj dziewczynie?
Nie bliższy żeś mi niźli każdéj innéj?
I winaż moja, żeś mi wtedy Panie,
Milszy i słodszy niźli napój winny, —
Wspanialszy.. niźli sam cedr na Libanie?
Żeś jasny więcéj i więcéj świetlany,
Niźli obłoki, słońcem rozwidnione;
Że mi nad wonny olejek rozlany
Jest imię twoje pośród niewiast czczone..
Że głowa twa jest jako bryła złota,
Włosy—jak czarne dzikich kóz kędziory,
Wzrok—jako chmura, co pioruny miota,
A lic kolory.. jak zorzy kolory?
Winnam-ż, że miodem są mi wargi twoje,
Myrrą ciekącą z kwiatów -- twe uściski,
Uśmiechy — niby świeże wodotryski,
Zdobiące pyszne w Hesebun podwoje?

. . . . .

O, niech tam słucha, kto chce, słucha sobie,
Ja wołać będę, żem cię ukochała
Bracie, nad wszystko, co tu i po grzebie
Wszechmoc nam Boża przyrzekła lub dała..
Chodź!—wejdź w sad wonny myrry i szafranu,
Co na méj piersi tu kwitnie dla Ciebie—
Wszystko, co jest w nim, dam méj duszy Panu,
Bo.. dając ziemię, sama będę w niebie!!

(Upada na ramię Jonatana).

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

Historja naturalna stworzenia Ernesta Haeckela. — Ślady stanu umysłowego człowieka w czasach pierwotnych, broszura Burnet Rylora. — O zwojach muzgowych u małpy i człowieka Gratiolet'a. — Wykłady fizyologji elementarnéj Huxleya. — Osseina. — Nowości.

Na czele bjologów niemieckich stoi niezaprzeczenie Ernest Haeckel, profesor uniwersytetu w Jena. Przed kilkoma laty jego *Morfologja powszechna* obudzała żywe zajęcie uczonych i encyklopedystów — obecnie niemniéj jest głośną piękna praca tegoż autora „*Historja naturalna stworzenia.*“ (Natürliche Schoepfungs Geschichte).

Gdyby Haeckel był wielkim poetą, historykiem, pisał o estetyce, lub poświęcał się powieściopisarstwu, niezawodnie stałby się u nas głośnym, doczekał nie jednego przekładu. Zajmując się badaniem przyrody, przedmiotem tyle dla nas ponętnym co matematyka, pozostał w cieniu, nieznany nam aż do nazwiska. (*) A jednak badacz to niepospolity, myśliciel głęboki, z tych samych już względów wypada nam poznajomić choćby pobieżnie czytelnika z poglądami jego na naturę.

Ośm lat temu, jeżeli nas pamięć nie myli, Haeckel napisał broszurę o *Promieniakach*, którą równie jak Gegenbaur *anatomią zwierząt kręgowych*, rzucił nowe światło na rozwoje życia. W Morfologji powszechnéj autor dorównał w systematyzmie Ohenowi, a przewyższył go niewątpliwie, uniknąwszy dziwactw cechujących tego naturalistę.

Czémże jest Morfologja? Oto zastosowaniem teorji rozwojów do jestestw żyjących, aż do ostatecznych granic konsekwencyi. Czém jest Historja naturalna stworzenia? streszczeniem Morfoligji powszechnéj z dążnością uprzystępnienia jéj dla ogółu więcéj wykształconych czytelników.

Jakby ją nazwać właściwiéj? *Historją rozwoju przyrody.* Więc Haeckel daje hypotezę tworzenia się wszechrzeczy, sięga do pierwocin życia? zapyta czytelnik. Nie inaczéj — i to stanowi nie małą zasługę autora, że cały swój system opiera na faktach pozytywnych, chociaż posiłkuje się drogą analogji, która nie zawsze prowadzi do pewnych wypadków. Pomimo to na każdéj karcie swéj pracy Haeckel składa dowody niepospolitéj umiejętności syntetycznéj.

W piérwszych sześciu rozdziałach téj zajmującéj książki, czytelnik znajduje jasno przedstawione poglądy bjologiczne Lineusza, Cuviera, Aggassiza, Goethego, Ohena, Kanta, Lamarcka, Lyella, i Darwina. Ideę transformizmu rysuje nam autor we wszystkich jéj fazach historycznych. W następnych sześciu rozdziałach, kreśli zarys teorji Darwina — w trzynastym przechodzi do kwestyi nietkniętéj przez tegoż — mówi bowiem *o pochodzeniu systemu słonecznego i kształtów materji ożywionéj.* Potrącając o tajemnicę piérwszych zjawisk życiowych na ziemi, autor wprawdzie przyznaje że teorja samorodztwa *nie opiera się na żadném stanowczém doświadczeniu*, pomimo to sądzi że nauka w dzisiejszym swym przejawie, nie może odrzucać zupełnie samorodztwa, co więcéj, według Haeckela, przyjmując teoryę rozwojów, potrzeba zarazem uznać powstawanie organizmów samorodnych, w których wytworze brały udział same tylko siły fizyczne. Prawdopodobnie więc pod wpływem ciepła, światła, elektryczności działających na materję, poczęło się tylko życie na ziemi gdyż jedna tylko teorja stopniowych rozwojów fauny i flory, wyjaśniać nam może ich formy przechodnie.

W czternastym rozdziale Haeckel rozbiera epoki geologiczne i ślady pierwotnych organizmów, przechowane w ciemnych pokładach, zwracając uwagę na typy zaginione, których brak sprawia, że dotąd nieznamy w całości historyi geologicznéj naszéj planety.

Pięć następnych rozdziałów obudzają najżywsze zajęcie czytelnika. Haeckel powołał w nich najważniejsze odkrycia naukowe, i na podstawie ich kréśli rozwoje państwa zwierzęcego i roślinnego, aby okazać jaką drogą powstawały typy fauny i flory, których drzewo genealogiczne wyprowadza.

(*) Przekładem dzieł Haeckela na język polski zajmują się obecnie we Lwowie.

Dwudziesty i ostatni rozdział poświęcił autor rozbiorowi zarzútów stawianych teorji rozwojów bjologicznych, tudzież podstaw na których ona spoczywa.

Przytoczyliśmy wyżéj treść publikacyi Haeckela, wypada nam z kolei rospatrzyć się potrosze w poglądach przez niego rozwiniętych,

Haeckel, w wielu miejscach zwraca się do teorji pochodzenia gatuków, która według niego,wprowadza nowy system w śledzeniu zjawisk życiowych przyrody — system zwany przez niego *przyczynowym*, wprost przeciwny wywodom tereologicznym, które się już przerzyły.—

Darwina nazywa autor ojcem filozofji bjologicznéj, opartéj na morfologiji nauce, jak wiadomo, zajmującéj się badaniem postaci narzędzi przyrody organicznéj.—

Tereolog utrzymuje że oko, lub ucho człowieka i zwierząt wyższego ustroju, utworzonemi zostały w tym celu, aby opatrzone niemi istoty mogły widzieć i słyszeć — *Człowiek, według niego, dla tego ma oczy aby widział, uszy aby słyszał.* — Darwin, odrzucający celowość, powiedziałby nam po prostu że człowiek *dla tego słyszy,że ma uszy, dla tego widzi że ma oczy.*— Nie zapominajmy jednak że istnieje tereologja szersza, wspierająca się na głównéj podstawie teorji rozwojów. — Owoż podstawa ta wypowiada, że wszelkie jestestwo jest wypadkiem wzajemnego oddziaływania, sił, należących do molekułów, które składały pierwotną mogławicę wszechświata.

Jeżeli to jest prawdą, niemniéj jest pewném, że świat obecny istniał w gazach kosmicznych, a znając własność tych gazów, możemy, według autora, oznaczyć ich wypadki i z cząstek złożyć całość.

Weźmy zegar, powiadają nam teoretycy, wskazujący godziny, minuty, sekundy i bijący regularnie, oznaczający wreszcie odmiany księżyca. — Otóż wszystkie jego zjawiska pochodzić będą niezaprzeczenie z układu mechanizmu, i biegły zegarmistrz po rozpatrzeniu się w budowie werku, określi z góry jakie on będzie dawał wypadki.—

Jeżeli teorya rozwojów jest prawdziwą, budowa molekułów gazu kopnicznego pozostawać będzie w tymże samym stosunku do zjawisk świata, w jakim mechanika zegarowa do zjawisk tegoż narzędzia.—

W ten sposób tłumaczą, nam możność rozpatrywania się w mechanice wszechświata, dochodzenia ze skutków do przyczyn ostatecznych i odwrotnie.—Wątpiemy przecież czy droga to pewna, w badaniach tego rodzaju. — Człowiek w stosunku do machiny zegarowéj świata, nie jest bynajmniéj zegarmistrzem biegłym, ale raczéj lichym robaczkiem — wcale nieobeznanym z ową mechaniką a przynajmniej bardzo mało. Pogląd jego tém samém może być do pewnych tylko granic Logiczny.—

Owóż przypuśćmy że czarno-brunatny żuczek, nie większy od piątéj części cala, zwany *Kołatkiem* z powodu kołatania, jakie wydaje wgryzając się w drzewo, obrał sobie mieszkanie w pudełku obejmującem werk zegarowy, i bada jego mechanikę, jak istota inteligentna. — Kołatek ów zapewne powiedziałby sobie: „No, widzę tu tylko kółka i sprężyny,— nic więcéj prócz materji i sił mechanicznych—Zabawka ta znać jakaś bezurowa.“—

Przedstawmy teraz z kolei innego kołatka z poglądem od tamtego odmiennym.—Ten znowu, słysząc monotonne dźwięki zegaru, prdobne do kołatania jakie sam wydaje, wyobraziłby sobie niewątpliwie, że ów cały mechanizm jest niczém inném, tylko olbrzymiem kołatkiem, którego przeznaczeniem dźwięczyć.—

Pierwszy żuczek,upatrujący w zegarze mechanizm bezcelowy, pomyliłby się również jak jego kolega, gdyż przeznaczeniem tego przyrządu jest wymierzanie czasu, nie zaś wydawanie dźwięków.

Najrostropniejszym z kołatków byłby ten niewątpliwie, który by się po prostu uznał za nieudolnego do rozbioru kwestyi, gdyż z pewnością jest ona niedostępną, dla inteligencyi wszelkiego rodzaju żóków.

Podstawmy w miejsce zegara parę kopniczną, a zamiast jego kółek werkowych molekuły téjże pary, a będziemy miéć kwestję podobnie rozbieraną przez stronników systemu mechanizznego i tereologów.

Piérwsi, odnosząc wszelkie zjawiska wszechświata do odmiennego ugrupowania się malekułów materyi pierwotnéj, — nie będą w możności udowodnić bezcelowości,któréj są apostołami.—Drudzy, dyskutując o przeznaczeniu wszech rzeczy, nadając każdéj cząstce składowéj świata pewny cel oznaczony, zakłopotani będą pytaniem — Skąd wiedzą o tém? — Czy cele przez nich wskazane nie będą raczéj owem dźwięczeniem pustem zegaru jak to pojmował kołatek?

Jakkolwiek hypotezy rozszerzają obręb myśli człowieka, rozwidniają mu światy, to przecież są kwestye z natury swéj nieprzystępne badaniom, a zaprzątanie się niemi prowadzi często na rozdroża najprzenikliwszego myśliciela.—

Haeckel wynalazł słowo dość wygodne: *dysteleologję*, z pomocą któréj bada nieużytki napotykane w organizmach żywych. — Zdaje się nam wszakże że fakta dysteleologiczne są brzeszczotem obosiecznym.— Jeżeli przyjmiemy, jak to czynią zwolennicy teorji rozwojów, że organa nieużytkowe, usychają, jakże nam wytłómaczą naprzykład istnienie palcy nożnych w stanie zarodkowym u konia?— W rzeczy saméj albo przypuścić potrzeba, że te organa zarodkowe są mu całkiem nieużyteczne, a w takim razię ponieważ koń istnieje w niezmiennych kształtach od epoki plioceniczněj, powinnyby owe palce nożne od dawna już zniknąć—albo też są one mu potrzebne, a więc nie mogą posługiwać autorowi jako broń, którą chce pobić tereologów.— Podobną a raczéj większą jeszcze trudność Haeckel napotka gdy chodzić będzie o wyjaśnienie bytu brodawek piersiowych i gruczołów mlecznych funkcyonujących u samców zwierząt ssących.— Nauka podaje wiele faktów wyrabiania się mleka w piersi mężczyzny, jakkolwiek nie przytacza ani jednego gatunku zwierzęcia ssącego, którymby samiec wykarmić zdołał swem mlekiem młode pokolenie.— Wypadałoby stąd wnosić, że gruczoły mleczne były niegdyś bardzo użytecznemi pierwotnym samcom, praojcom naszéj rassy. Dla czego? gruczoły owe nie znikły chociaż dziś mężczyźni nie karmią już piersią swych dzieci. — Czyżby zachowanie to dowodziło jakiéj użyteczności wspomnionych gruczołów w organizmie płci mezkiéj? — Być może— lecz w takim razie wartość ich odnośnie do dysteologji byłaby bardzo względna.—

Haeckel przyjmuje dwie główne zasady w rozwojach przyrody ożywionéj.— Natura organiczna, powiada, posłuszną jest dwom siłom — pierwsze z nich *dośrodkowa*, usiłuje zachować kształty gatunkowe i przelać je na potomstwo. — Jest więc nie czém inném tylko *dziedzicznością* Darwina;— druga *siła odśrodkową* zwana, wypływa *z dążności warunków zewnętrznych* przekształcenia organizmów. o ile pierwsza jest konserwatywną, o tyle druga rozwojową.—

Szeroki pogląd autora, wsparty umiejętną syntezą, rozbraja krytyków, chociaż sposób przedstawienia kwestji ma pewne niedogodności.— Haeckel narusza tu podwaliny systemu Darwina, dążność bowiem do przekształceń w organizmie dawnym, może nie pozostawać w żadnym związku *z warunkami zewnętrznemi*,w których tenże organizm przebywa.— Nikt zapewne uie będzie upatrywał w warunkach zewnętrznych życia, przyczyny rozwoju szóstego palca u ręki i u nogi w słynnym z tych zboczeń maltańczyku.

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Nakoniec jednego wieczoru jeńcy zatrzymali się w aule o parę mil tylko odległym od Wedenu. Jedna z kobiet miejscowych, przyprowadzona przez mułłę, uprzedziła księżnę, że nazajutrz będą już u Szamila, i że on tegoż samego dnia je odwiedzi. Prorok prosił żeby były zasłonięte, gdyż prawo Mahometa zabrania kobiecie stawać z odkrytą twarzą przed mężczyzną, wyjąwszy męża. Jednocześnie mułła kazał zanieść do księżn kilka sztuk muslinu, igły i jedwab do szycia, a Szamil oddał rozkaz, żeby na przejazd jutrzejszy wszystkie kobiety miały konia i przewodnika. Część nocy zeszła na przygotowaniu welonów.

Po dwugodzinnéj jeździe, księżne stanęły w Wedenie. O kilka wiorst przed Wedenem orszak znacznie się zwiększył przez ciekawych, między którymi najwięcéj było kobiet, chcących widzieć ruskie branki. Księżne szukały oczyma mieszkania imama, gdy wtém nagle znalazły się przed budowlą, wysoką od sześciu do siedmiu stóp, otoczoną palisadą, i nierównie więcéj podobną, do obory owczéj, niż do mieszkania ludzkiego. Przejechawszy przez trzy bramy, z których każda wychodziła na dziedzieniec, księżne ujrzały nowe swe pomieszkanie — harem, przed wejściem do którego wszyscy zdjęli obuwie.

W pokoju przeznaczonym dla księżn, żywy ogień palił się na kominku; ciepło, którego tak wielką czuły potrzebę przemokłszy do nitki w czasie burzy, wielką im sprawiło przyjemność. Ściany pokoju były wymazane żółtawą gliną, rozpuszczoną w wodzie, a przez stare, zużyte kobierce, widać było źle spojone deski podłogi. Sufit tak był nizki, że mężczyzna wysokiego wzrostu musiałby stać ciągle nachylony. Pokój długi ośm, a szeroki dwanaście stóp, oświetlony był jednym tylko otworem, w kształcie okienka, wielkości chustki od nosa. Podano płów, ulubioną potrawę tatarów z ryżu, brzegi półmiska były ubrane owocami i miodem, do tego placuszki zamiast chléba, bez soli i wodę. Była to uczta w porównaniu do zwyczajnego stołu księżn od ich uwięzienia. Trzy żony imama przyjmowały księżne; Szamil prosił przez nie, żeby go miały za wymówionego, że taki skromny posiłek dla nich przygotował: to wszystko, kazał powiedzieć, co może dać władca biednego kraju, biedniejszy niż sam kraj jego.

Po skończonéj uczcie uprzedzono księżne, żeby starannie twarze zasłoniły, gdyż prorok wkrótce nadejdzie. Przyniesiono przed drzwiami krzesło drewniane, wyplatane trzciną i trzech tłómaczy stanęło na progu, nie wchodząc do pokoju. Jeden z nich był Hadżi-Cherych, poufny Szamila, dwaj drudzy byli tłómaczami z rossyjskiego i gruzińskiego języka.

W krótce ukazał się imam. Miał na sobie długą, białą tunikę, rozpiętą na przodzie, z któréj wyglądała druga, zielona, na głowie turban biały z zielonem. Usiadłszy na krześle, przygotowaném przed pokojem, w którym były księżne, z rospostartym parasolem, który służący trzymał nad jego głową, Szamil zwrócił mowę do księżny Orbeliani, nie patrząc na nią, ani też na drugie kobiety, z nawpół przymkniętemi, według wschodniego zwyczaju, oczami.

„Barbaro,“ rzekł prosto, nie dając księżnie żadnego tytułu, „mówią że jesteś żoną Eliko, którego znałem i kochałem. Eliko był moim więźniem, miał serce szlachetne i mężne, i z ust jego nigdy nie wyszło kłamstwo. Mówię to dlatego, że i ja brzydzę się nieszczerością. Nie usiłuj zatém mię oszukiwać; popełniłabyś występek i niedopięłabyś celu. Sułtan rossyjski zabrał mi syna, chcę żeby mi go oddał. Mówią Nino i Barbaro, że jesteście wnuczkami sułtana gruzińskiego; napiszcie więc do sułtana rossyjskiego, żeby mi oddał Dżemal - Eddina, a ja was wrócę waszym krewnym i przyjaciołom. Trzeba będzie nadto dać pieniędzy dla mego ludu; ja domagam się tylko mego dziecięcia.“

Tłómacze przetłómaczyli słowa Szamila księżnom, poczém imam mówił daléj:

„Mam do was listy, jeden z nich nie jest pisany, ani po rossyjsku, ani po tatarsku, ani po gruzińsku, języka tego nikt tu nie rozumie. Napróżno żeby do was pisano w języku niezrozumiałym; każę wszystko tłómaczyć, a co nie będzie mogło być przetłómaczoném, nie będzie i czytaném. Allach zaleca roztropność człowiekowi; pójdę za przykazaniem Allacha.“

Księżna Orbeliani odpowiedziała.

— „Nie chciano ciebie oszukać, Szamilu. Między nami jest francuzka; należy ona do narodu, z którym nie jesteś w wojnie, a który przeciwnie jest w wojnie z Rossyą. Proszę cię o wolność dla téj kobiety.“

„Dobrze,“ rzekł Szamil; „jeżeli wioska jéj leży niedaleko Tyflisu, każę ją do niéj zaprowadzić.“

— „Jéj wioska jest wielkiem i pięknėm miastem, z półtora miljonem mieszkańców,“ — odrzekła księżna Orbeliani, — „i trzeba przebyć morza, żeby się do niéj dostać.“

— „W takim razie,“ rzekł Szamil, „odzyska wolność jednocześnie z wami; a to już jéj rzeczą będzie, jak wrócić do swego kraju.

Powstając potém, dodał: „oddadzą wam listy, pisane po rossyjsku; ale pamiętajcie że każde kłamstwo jest obrazą domierzoną Allachowi i jego słudze Szamilowi. Mam prawo zmiatać głowy i każę ściąć głowę, która zechce mię oszukać.“ Po tych słowach oddalił się z największą powagą.

Szamil zawsze bardzo lubił dzieci; podczas całéj niewoli księżn, kazał sobie co dzień przynosić małe książęta, bawił się z niemi godzinę i nie odsyłał nigdy nie dawszy jakiego upominku. Dzieci tak były się do niego przyzwyczaiły, że rozstając się płakały po nim. Można zatém wyobrazić sobie, jak Szamil kochał i tęsknił po synu swoim Dżemal — Eddinie. Przy wymianie znaczniejszych jeńców, zawsze prosił żeby mu go wrócono, lecz zawsze napróżno. Tą razą wzięte do niewoli księżne, zdawały się mu być dość znacznego pochodzenia, żeby mu za nie oddano syna, i tą razą nie zawiódł się w swoich rachubach.

Cesarz Mikołaj kazał był wychować Dżemal - Eddina po książęcemu. Chłopiec spoczątku dziczył się i unikał towarzystwa rówieśników, ale w końcu oswoił się z nowym porządkiem rzeczy; nauczył się prócz języka rossyjskiego, po francuzku i po niemiecku, i przeszedłszy niższe stopnie oficerskie, został pułkownikiem i adjutantem skrzydłowym Cesarza.

Jednego dnia Cesarz kazał go zawołać do siebie. „Dżemal - Eddinie,“ rzekł do niego, „mam ci zrobić propozycyę, którą przyjąć lub odrzucić, od ciebie zależeć będzie. Dwie księżne gruzińskie, księżna Czawczawadze i Orbeliani, zostały uwiezione przez twego ojca, który nie chce je wydać inaczéj, jak tylko pod tym warunkiem że ciebie mu wrócę. Jeżeli zgodzisz się na tę wymianę, odzyskają wolność, w przeciwnym razie zostaną nazawsze w niewoli. Nie idź za pierwszym popędem, ale postąp rozważnie; daję ci trzy dni do namysłu.

— „Najjaśniejszy Panie,“ odrzekł Dżemal Eddin, ze smutnym uśmiechem, „syn Szamila i wychowaniec Cesarza Mikołaja nie potrzebuje tak długo namyślać się, co mu czynić pozostaje. Góral z urodzenia, stał się rossyaninem sercem. Umrę w moich górach, w których żadnéj niebędzie zgodności z wychowaniem, które otrzymałem, ale umrę w tém przekonaniu, żem dopełnił mojéj powinności. Trzy dni które mi Wasza Cesarska Mość łaskawie użycza, użyję na pożegnanie przyjaciół. Od téj chwili możesz, Najjaśniejszy panie, mną rozrządzać, pojadę kiedy Wasza Cesarska Mość rozkaże.“

Dżemał - Eddin wyjechał z Petersburga z księciem Dawidem Czawczawadze, na początku Lutego 1855 roku, i pod koniec tegoż miesiąca przyjechał do Chasaf - jurta, skąd natychmiast posłano przez umyślnego list księcia do Wedenu, datowany z Władykaukażu. Dżemal - Eddin zostawał tymczasem w Chasaf - jurcie w domu księcia, wolny, na słowo honoru, i jadał u generała, barona Nikolai. Z powodu wymiany księżn, wydano bal w Chasaf - jurcie, którego Dżemal - Eddin był bohatérem.

Szamil naznaczył 10 Marca dla wymiany, ale w tym czasie zaszła nieprzewidziana trudność. Prócz wydania Dżemal - Eddina, Szamil wymagał czterdzieści tysięcy rubli wykupu od księcia z tém, żeby summa ta była mu wypłaconą drobną srébrną monetą. Trzeba było dłuższego czasu dla dostania tylu dwudziesto - pięciu i dziesięcio-kopiejkowych pieniędzy, tak że w wilję wymiany tylko trzydzieści pięć pośpiano uzbierać. Na prośbę księcia Czawczawadze, Dżemal-Eddin przyrzekł, że skłoni ojca do wzięcia pięciu t - sięcy rubli złotem.

10 zatém Marca, generał Nikolai, na czele licznego oddziału piechoty z dziewięciuset kozakami i sześcią armatami, udał się nad brzeg rzeki Miczyku, gdzie miała nastąpić wymiana. Prawy brzeg rzeki, który sam tylko należał wówczas do rossyan, jest równy i bezleśny, na lewym zaś, o wiorstę od brzegu, który stanowił granicę posiadłości imama, zaczynały się, lasy aż do gór ciągnące się. Szamil kazał powiedzieć baronowi Nicolai, żeby się zatrzymał o wiorstę od prawego brzegu, to jest w téjże samej odległości, w jakiéj i on miał stanąć na lewéj stronie. Kiedy baron Nicolai przybył z obozem, Szamil był już na miejscu; można było widzieć zdaleka namiot jego, z czarną z tyłu chorągwią. Natychmiast posłano do imama ormianina Gramow'a, który miał służyć za tłómacza i dowiedzieć się w jaki sposób wymiana ma nastąpić.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DRUGA MIŁOSC.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(*Dalszy ciąg*).

Mówiła tryumfującym tonem; ale co ją zadziwiało, to stopniowe zmiany w twarzy stryja Edwarda. Oczy jego lśniły łagodnie, chociaż nie były ku niéj zwrócone; na ustach zawisł uśmiech, który jednak nie zdawał się być w związku z rozmową.

— O czém myślisz stryju? zapytała nagle Sybilla.

— O niczém; zdaje mi się tylko że twoja przyjaciółka przyjechała; słyszałem turkot powozu.

Sybilla zerwała się i pobiegła na schody, bez względu żadnego na muślinową suknię, którą zaczepił gwóźdź zdradliwy i rozdarł mocno. Za chwilę była na ganku, a następnie w objęciach Blanki Cains.

— O, Blanko, — zawołała — mam cię nareszcie—nareszcie! Piękna twarz pochyliła się nad jéj twarzą, słodkie usta przylgnęły do jéj policzka, a gorący uścisk ręki był milczącą odpowiedzią na gorące powitanie Sybilli.

— Pójdź, pójdź, zawołała wesoło — jest tam mój stryj, chciałabym żeby cię zobaczył.

Pobiegła pierwsza i szybko weszła do salonu; ale stryj zapewne nie chciał przeszkadzać spotkaniu przyjaciołek i cofnął się do swego pokoju.

ROZDZIAŁ XIII.

— Poszedł! zawołała zawiedziona Sybilla — to mi ładnie! — kiedy tak, to będziesz zupełnie do mnie należéć; niechże ci się przypatrzę, kochana, ale zrzuć okrycie.

Miss Cains z pełną wdzięku niedbałością, rzuciła okrycie na najbliższe krzesło i stanęła przed swoją przyjaciółką. Była wysoka, dobrze zbudowana, i niezaprzeczenie bardzo piękna. Sybilla patrzyła na nią z uwielbieniem.

Miss Cains wyglądała tak majestatycznie, iż postać Sybilli obok niéj niknęła prawie. Przytém ruchy jéj były bardzo wdzięczne; doskonała harmonja całéj budowy, czerstwe zdrowie, stalowe nerwy, nadawały jéj spokój i pewność siebie. Nic nie wprawiało ją w zamieszanie, a bardzo mało co mogło rozdraźnić. Nie była zimna, bynajmniej też nie apatyczna, ale było w niéj coś raczéj z spokojnego ciepła jesieni, niż z żaru lata. Czytać to można było z jéj pięknéj twarzy, z trwałych, świetnych rumieńców obok śnieżystéj białości cery, z spokojnych, chociaż pełnych blasku niebieskich oczu, z czystego rysunku greckich linij twarzy. Trochę kwadratowy podbródek, kaził tę doskonałą piękność, ale podnosił jeszcze wyraz siły, jaki w całéj postaci panował. Maleńki dołek łagodził jednak surowość tego napoleońskiego konturu, a różany uśmiech w zupełnéj był z nim sprzeczności. Do tych powabów dodajmy wesoły wyraz twarzy i głosu. Nikt tak szczerze nie potrafił radować się, jak miss Cains — zdawała się być stworzona do wesołości, do wzbudzania jéj wszędzie gdzie się pokaże. Brakowało jéj tylko delikatności i wrażliwości, malującéj się na twarzy Sybilli, a także jéj płomiennych oczu: jednak piérwsze wrażenie jakie czyniła, było korzystne, a piérwsze wrażenie stanowi o wszystkiém.

— O, jak jesteś piękną, — rzekła Sybilla — Blanko, ty pomścisz mnie. Ukartowano intrygę przeciw mnie w téj lichéj mieścinie, ale przeciw tobie nie uda im się nic podobnego — ty im zabierzesz wszystkich tancerzy.

— Cożeś zrobiła takiego, żeś aż wywołała intrygę przeciw sobie — ale widzę żeś na bal wybrana? dodała oglądając ubiór Sybilli.

— Miałam iść — odpowiedziała Sybilla, ale dowiedziałam się, że tam zmawiają się na mnie.

I w krótkich słowach opowiedziała swoje balowe przygody, dodając.

— Byłabym poszła mimo tego, gdyby stryj Edward chciał był mnie zabrać.

— Zdaje mi się, że z mojéj przyczyny stryj Edward opuścił ten pokój — rzekła panna Cains.

— Pewnie dlatego że nie chciał nam przeszkadzać.

— Och, wiem że jestem nic nieznaczącą osobą — obojętnie odpowiedziała Blanka — nie myśl żeby mnie to urażało. Nie oczekuję szczególnych jakichś grzeczności od nikogo.

Sybilli twarz zachmurzyła się.

— Proszę cię nie myśl tego — rzekła.

— Ja nic nie myślę, moja droga.

— Myślisz źle, i żeby cię przekonać żeś się omyliła, zaraz sprowadzę tu stryja.

— Tylko nie na mój rachunek, Sybillo, rzekła miss Cains; ale protestowała dość słabo, i Sybilla, upewniając ją że wróci za pięć minut, odeszła. Szybko pobiegła do pokoju stryja Eewarda, zapukała do drzwi, ale nie otrzymała żadnéj odpowiedzi. A że w ciemnym korytarzu nie widać było światła przez dziurkę od klucza, jawném było że go tu niéma. Chiała wrócić na dół, gdy otworzyły się drzwi od pokoju ciotki i pokazała się miss Glyn w progu, w flanelowym szlafroczku i ze świecą w ręku.

— Sybilla, — rzekła z podziwieniem.

— Blanka tylko co przybyła — odpowiedziała Sybilla—i szukam stryja, chciałam go przedstawić.

— A bal?

— Nie poszłam nań. Nie było komu mnie zaprowadzić; prócz tego zmówiono się tam przeciwko mnie. Chciałabym tylko znaleść stryja.

— Sybillo, idź do pokoju i zmień ubior.

— Nie mogę ciotko, Blanka tam sama czeka.

— Zrób, jak powiadam. Raz już zaziębiłaś się, to dosyć. Ubiorę się i zejdę do panny Cains.

Sybilla uważała to za korzystniejsze dla swojéj przyjaciołki i posłuchała rady ciotki. W istocie zwłoka była nie długa; w kilka minut zmieniła ubior i zbiegła po schodach.

— Nie mogłam go znaleść — rzekła otwierając drzwi do salonu, — i w téjże chwili ujrzała stryja stojącego przed kominkiem i swobodnie rozmawiającego z panną Cains.

— Stryju, gdzieżeś się chował? zawołała z podziwieniem.

— Nie chowałem się, — odrzekł spokojnie — sam się przedstawiłem pannie Cains.

— Jakże się to stało żem cię nie spotkała—nie rozumiem.

— Ani ja, — rzekł uśmiechając się.

W téj chwili z wielką powagą weszła miss Glyn.

— Ciotko, oto kochana Blanka przyjechała nareszcie.

Miss Glyn przyjęła tę wielką nowinę bardzo spokojnie, powitała pannę Cains, usiadła i zaczęła jéj się przyglądać. Chłód ten dotknął Sybillę, ale rachowała jeszcze na ojca, którego głos dał się słyszeć. Gdy wszedł do pokoju, Sybilla znowu dopełniła przedstawienia. Pan Kennedy zbliżył się do gościa i swobodnie, przyjaźnie pozdrowił ją w swoim domu; rozpytał o przebytą drogę, pogodę jaka jéj służyła, i porozmawiawszy tak z pięć minut, zwrócił się do brata i zapuścił się z nim w jakąś dyskussyę. Sybillę dotknęło to nieprzyjemnie. Spodziewała się że p[...] najmniéj jéj ojciec zachwycony zostanie; tymczasem nie, okazał nic nad prostą grzeczność; żadnego śladu sympatji, zajęcia, nie widać było na jego twarzy.

Jeżeli miss Cains dostrzegła to samo co Sybilla, to przynajmniéj nie okazała tego po sobie. Wesoło szczebiotała z przyjaciołką, opowiadała jéj wszystkie nowiny z pensyi i wyglądała tak świeżo, tak świetnie, jak gdyby nie odbyła długiéj męczącéj podróży. Sybilla chcąc koniecznie wywołać zajęcie dla swéj przyjaciołki, prosiła jéj aby zaśpiewała, jeżeli nie jest zmęczoną.

Miss Cains uśmiechnęła się.

— Moja kochana — rzekła—wiesz że ja nie, bywam zmęczoną, ale ja zwykle śpiewam tylko duety.

Sybilla zakłopotała się; miała wprawdzie głos ładny, ale nie mogła śpiéwać z Blanką.

— Sybillo, dla czegoż mnie nie przyzwiesz? szepnął jéj stryj, przechyliwszy się ku niéj.

Sybilla, która dotąd nie przypuszczała iż jéj stryj śpiewa, uradowała się i zdziwiła zarazem.

— Umiesz więc śpiéwać, stryju?

— Umiem, rzekł z uśmiechem.

— Będę więc wam akompanjować—zawołała wesoło.

— Nie, moja droga, ja sama zwykle sobie akompanjuję.

— Zatém będę słuchać — rzekła Sybilla.

I przysunąwszy krzesło, siadła z rękami złożonemi na kolanach, podczas gdy panna Cains i jéj stryj zabrali się do śpiewu.

Oboje mieli piękny głos i oboje śpiéwali dobrze, zmuszając do podziwu słuchaczów. Miss Glyn jakkolwiek zachwycona, nie okazywała tego po sobie; ale Kennedy, lubownik muzyki, widocznie był oczarowany.

— O, stryju, bosko! zawołała Sybilla, gdy skończywszy śpiéwać wrócił do niéj. — Jak piękny masz głos, jak szkaradnie postąpiłeś, żeś dotąd nam nie dał się poznać.

— Cała zasługa należy się pannie Cains — rzekł grzecznie

Sybilla tą razą zapomniała o pochwale Blanki, gdyż głos jéj stryja był piękniejszy.

Cała rodzina zasiadła późno do wieczerzy, po któréj jeszcze przeciągnęła się ogólna rozmowa i piérwsza wybiła, gdy dwie przyjaciołki pożegnały towarzystwo. Poszły naprzód do pokoju Sybilli. Wytworna ta mała klateczka zachwyciła pannę Cains.

— Szczęśliwa jesteś, rzekła, rzucając się w wygodny fotel — pyszne masz gniazdeczko!

I westchnęła, kończąc te słowa, — nie z zazdrości, ale z zadowolenia.

W istocie panna Cains wcale nie czuła skłonności do ascetyzmu. Zawsze lubiła życie wygodne i nie zapierała się tego. W pewnych względach była chodzącą otwartością: naprzykład przyznawała że lubi stroje, klejnoty i wytworne meble; że dla porcelany i koronek jest z uwielbieniem.

— Może zamienimy się na pokoje? rzekła Sybilla — Dałam ci pokój pani Mush, dlatego że z niego ładniéjszy widok niż z mego.

Blanka rozśmiała się.

— Tak, pamiętam — tobie chodzi tylko o widoki; zakochałaś się w pagórkach Surrey, nie mając nic lepszego; ale to także dobrze cię charakteryzuje, że chcesz mi oddać twój pokój. Dziwna z ciebie dziewczyna.

— Ale zajmiesz go, Blanko — prawda?

— Nie, nie mówmy już o tém. Ale powtarzam dziwna z ciebie dziewczyna. Naprzykład, jak się ubierasz? mogłabyś przecie lepiéj.

— Nie mam panny służącéj; ojciec powiada że nie potrzebuję.

Miss Cains spójrzała na nią z użaleniem i wzgardą i zapytała.

— A ty na tém poprzestajesz?

— Ale doprawdy, mogę się bez niéj obejść.

— Nie wierzę; zupełnie źle ubrana jesteś w téj białéj muślinowéj sukni.

— Stryj powiedział mi, żebym obrała jaką lekką materję.

— O, jeżeli on dla ciebie stanowi powagę, to już nie mam co mówić.

— Jak on ci się podoba? — żwawo zapytała Sybilla — prawda że ładny i poważnie wyglądający.

— I czerwonowłosy — przerwała Blanka. — Że duży to prawda, a ty masz go za wielkiego?

— Ale jakże ci się podoba on, i mój ojciec i ciotka Glyn?

— Moja kochana, nie wiele chodzi o to jak mi się oni podobają. Przybyłam tu z postanowieniem polubienia ich, choćby tylko dla ciebie; rzecz w tém jak ja im się podobam.

— Rozumie się że im się podobasz.

— Czy tak? Uważałam spojrzenia twojéj ciotki i ojca i stryja, i mogę ci dokładnie powiedzieć co myślą o twojéj pokornéj służce.

— Daj pokój — prosiła Sybilla.

— Prawda jest prawdą i wiesz, że jéj się nie boję. Ciotka twoja patrzyła na mnie i myślała: Jest piękna zrobi to ujmę Sybilli — poco ją było tu sprowadzać? Twój ojciec myślał: Piękna dziewczyna, ale duża, ja lubię szczupłe. I po takim kommentarzu przestał o mnie myśleć. Twój stryj...

— Nie, Blanko, to niedobrze — przerwała jéj Sybilla.

— Moja droga, to prawda; ale daj buziaka i nie mówmy już o tém.

— Pewna jestem, że będą cię wszyscy kochać: i ojciec i ciotka i stryj.

W oczach Blanki jakiś płomyk zamigotał.

— Twój stryj, niezawodnie! — czy myślisz Sybillo żeś cud odkryła, z temi czerwonemi włosami, zielonemi oczami i z tém śpiéwaniem?

Sybillę tak zadziwił ten wybuch a szczególnie ton w jakim go Blanka wypowiedziała, że patrzała tylko na nią w milczeniu. Blanka rozśmiała się wzgardliwie.

— Powiadam ci, że twój stryj gardzi kobietami. W jego oczach jesteśmy tylko miłemi istotami, stworzonemi dla rozweselenia i zabawy mężczyzny. Biéda téj, która będzie jego żoną.

— O Blanko, krzywdzisz go,—zawołała Sybilla z uczuciem— nie uwierzysz jaki on dobry.

— To naturalnie, że dobry dla swojéj siostrzenicy — rzekła niedbale Blanka.

— Mimo swoich czerwonych włosów, trudno nie uznać że jest przystojny, prawie tak ładny, jak mój ojciec. I nie tylko rysy twarzy ma piękne, ale jest w nim jakaś słodycz i dowcip, dobroć i męzka powaga, wskazująca wyższą naturę.

Mówiła z takim zapałem, że aż zarumieniła się nieco. Blanka rozśmiała się i przyciągnąwszy do siebie Sybillę, ucałowała ją serdecznie.

— Tak, rzekła, dobre z ciebie dziecko, o tém trudno wątpić, ale nie mogę ci całą noc spać przeszkadzać, dobranoc więc, a raczéj dzień dobry.

— O, nie jeszcze, — prosiła Sybilla — mam tyle do powiedzenia ci. Zaproszeni jesteśmy raz na zawsze do pani Ronald, na bale, które wydaje co dwa tygodnie, i ty także jesteś zaproszona, bo wspominałam jéj, że oczekuję przyjaciołki. I musiesz mi pomódz do złemania intrygi. Jakże się ubierzemy, bo ja muszę sprawić sobie nową suknię — tę dzisiaj już rozdarłam.

— Nie pójdę na bal do pani Ronald — sucho odpowiedziała Blanka.

— Nie? Dlaczego?

— Nie mam sukni, i nie mam jéj za co kupić.

— Ale ja mogę, — żwawo zawołała Sybilla — ojciec dał mi wczoraj trzysta franków, nie wydałam ich jeszcze.

— Zachowałaś je dla mnie! — zawołała Blanka z obrazą.

Sybilla zarumieniła się i zaczęła jąkać objaśnienia. Miss Cains dobyła sakiewkę i położyła na stole Sybilli dwa suwereny.

— Przysłałaś mi je, niechciałam cię obrażać odsyłaniem — rzekła spokojnie — wiem że uczyniłaś to z dobrego serca, ale raz na zawsze Sybillo, niechcę takich prezentów.

— Nie kochasz mnie więc.

Łzy stanęły w oczach Sybilli, ale Blanka śmiała się, całowała swoję przyjaciołkę i trwała w swojém postanowieniu. Nakoniec na prośby i łzy Sybilli, przystała na kompromis: wzięła pieniądze napowrót i obiecała kupić sobie za nie niebieską, tarlatanową suknię; Sybilla miała sobie takąż sprawić; obie te suknie miały być ozdobione białemi różami. O czwartéj godzinie dopiéro skończyły się rosprawy nad tym przedmiotem; Sybilla poradziła swojéj przyjaciołce, iż lepiéj zrobi nie puszczając się na podróż nocną po korytarzu, gdzieby mogła spotkać się z jakim duchem; śmiejąc się, przystała zatem Blanka podzielić z nią łoże. Białe to gniazdko pomieściło więc oba te ptaszki, które świegotały jeszcze czas pewien nim zasnęły.

ROZDZIAŁ XIV.

Jakkolwiek późno spać poszła Sybilla, wstała wcześnie, i nieczuła żadnego znużenia.

— Dokąd? zapytał jéj stryj, gdy przechodziła przez dziedziniec klasztorny.

— Idę zbierać rzeżuchę wodną — Blanka lubi ją bardzo.

— Długo was wczoraj wieczór rozmowa zabawiała.

— Skąd to wiesz stryju, że późno spać poszłyśmy?

— Byłem w kantorze i widziałem światło w waszym oknie. Widziałem także dwa cienie poruszające się na firance.

— Tak, miałyśmy dużo do mówienia ze sobą. Cóż, stryju przyznaj że ładna.

— Rzeczywiście jest piękna panna.

— Wszak pójdziesz z nami na przyszły bal i będziesz tańczył z Blanką?

— Mam zamiar nie być na żadnym balu.

— O, nie rób takiego postanowienia, mój stryju. Zobaczysz jak ślicznie będzie Blanka wyglądać w niebieskiéj sukni.

— W niebieskiéj — a ty jaką mieć będziesz?

— Także niebieską, jednakowo będziemy ubrane.

— Niebieski kolor nie będzie ci do twarzy moję dziecię. Ale pójdźmy rwać rzeżuchę.

— Pójdziesz ze mną? wesoło zawołała Sybilla, — jakżeś dobry stryju.

Przeszli przez niższy ogród i wyszli na leżące po za nim zarośla. Wązka ścieżka poprowadziła ich do ciernistego ustronia, przezwanego „Cressonière.“ Zródło zasilające wązkim strumykiem rzeczkę Saint-Vincent, wytryskiwało tu zpod ciemnéj skały, uwieńczonej dziką różą i głogiem, i przerznąwszy się przez kamieniste łoże, tworzyło szerokie a płytkie mokradło, w około którego, w nieregularnych odstępach rosły wysokie drzewa. Zieloność, cień i cisza znamionowała to miejsce. Na powierzchni wody pływała obficie rzeżucha, a gdzie woda była głębsza, tworzyła zwierciadło czyste a ciemne, w którém przeglądały się drzewa, ledwie gdzie niegdzie dopuszczając kawałek błękitnego nieba. W cieniu drzew, po przez zarośla sączył się strumień daléj, a na jego brzegach rosła rzeżucha obfitsza i dorodniejsza.

— Lubię to miejsce — rzekła Sybilla narwawszy rzeżuchy pełen fartuch i siadając na darniowéj ławce — tak ciche, tak spokojne. Nie słychać tu szumu fal morskich, ani wichru; tylko lekki wietrzyk szeleści przez drzewa i ptaszki świegoczą po gałęziach. Przyprowadzę tu Blankę, będziemy siedzieć i szyć, a i stryj znami posiedzisz, prawda?

— Czy tylko piękna Blanka znajdzie w tém upodobanie?

— Czemużby nie? Musisz ją pokochać stryju i ona ciebie, i...

— To niema sensu — rzekł stryj, wstrząsając swą gęstą grzywą, trochę niecierpliwie — otóż tracę tu cały poranek na zbieraniu

rzeżuchy i słucham o pannie Cains. Dziwię się co mnie tu trzyma. Ale jesteś mała czarodziejka, trzeba ci to przyznać. Gotowaś mnie ożenić z tą twoją przyjaciółką, czy chcę, czy nie chcę. Gotowaś nawet, co już trudniejsze — wymusić na niéj żeby mnie pokochała.

Sybilli oczy zabłysły, klasnęła w dłonie.

— O, jakżebym się ucieszyła, zawołała.

— Ale to już czas śniadania, przerwała wstając, a ja mam być w młynie, a królowa Blanka obudzi się i zadziwi gdzie jéj dama honorowa bawi tak długo.

— To prawda, — zawołała Sybilla, zrywając się. Do widzenia stryju.

Kiwnęła głową i pobiegła. Przechodząc przez galerję klasztorną usłyszała głos panny Glyn, wołający ją przez okno biblioteki. Sybilla stawiła się na żądanie.

— Gdzieś była? zimno zapytała ciotka.

— Zbierałam rzeżuchę do śniadania.

— Co mówił ci ten pan kiedyś szła przez klasztor?

— Ciotka pewno mówi o stryju. Mówiliśmy o balu pani Ronald, powiedziałam stryjowi że Blanka i ja będziemy w niebieskich sukniach; stryj powiada że ten kolor niebędzie mi do twarzy, ale pewna jestem że będzie.

Miss Glyn spoglądała na nią z oburzeniem. „Samozwaniec“ ów mówił z Sybillą w przedmiocie ubioru, o kolorze który jéj będzie do twarzy. I jéj nierozsądna siostrzenica ubierze się niebiesko, dlatego tylko że kolor ten do twarzy pannie Cains! — to może wyprowadzić z niecierpliwości.

— Sibillo jesteś szalona! — rzekła z taką goryczą, że Sybilla spojrzała na nią z przykrem zdziwieniem.

— Dziwi mnie, że rozmawiasz z tym paném o swoim ubiorze, a kolor niebieski, jaki sobie obierasz, jest kompletną niedorzecznością. Bo proszę cię, rzekła z naciskiem, pocóżeś sprowadziła tu tę pannę Cains i poco ją ciągniesz na bal do pani Ronald? Miss Cains o wiele effektowniejsza od ciebie i wszystkich twoich wielbicieli ściągnie ku sobie; to wyjdzie na szkodę tobie, a jéj żadnéj korzyści nie przyniesie. Co za potrzeba sprowadzać sobie rywalkę?

Uwagi te zapewne natchnione były najlepszemi pobudkami, ale Sybilla bardzo źle je przyjęła. Patrzyła na swą ciotkę z takiém oburzeniem, że dostrzegł tego ojciec, wchodzący właśnie do pokoju i zapytał o co idzie?

— O to, odpowiedziała Sybilla gwałtownie, — że ciotka gani mnie, żem tu Blankę sprowadziła. Powiada że Blanka odbierze mi wszystkich wielbicieli; gani mnie, że chcę się ubrać niebiesko i że stryjowi o tém mówię.

Jeżeli uwagi miss Glyn niepodobały się Sybilli, to obraziły jéj ojca.

— Kochana Maryo, — rzekł — po co tam głowę zawracasz dziewczynie? Smieszna rzecz, iżby miss Cains, która ani grosza niema, miała Sybilli odebrać wielbicieli. A nawet choćby ich majątki były równe, nie widzę iżby Sybilla miała się obawiać czego. Z pewnością ani jeden się nie znajdzie coby nad Sybillę przeniósł tę dużą tłustą dziewczynę.

— O, ale ładna, — przerwała Sybilla, niekontenta z takiéj obrony,

— Moja droga, różne są gusta. Jest przystojna i ma świetne zęby, ciągle się też śmieje, żeby je pokazywać. No, no, nie będę już więcéj mówił. A co do niebieskiego koloru, ubieraj się jak chcesz. I, dodał zwracając się więcéj ku pannie Glyn—nic dziwnego, że Sybilla radziła się stryja w przedmiocie ubioru, bo ja ją do niego o radę posłałem, wtenczas kiedy tu ciebie nie było, Maryo.

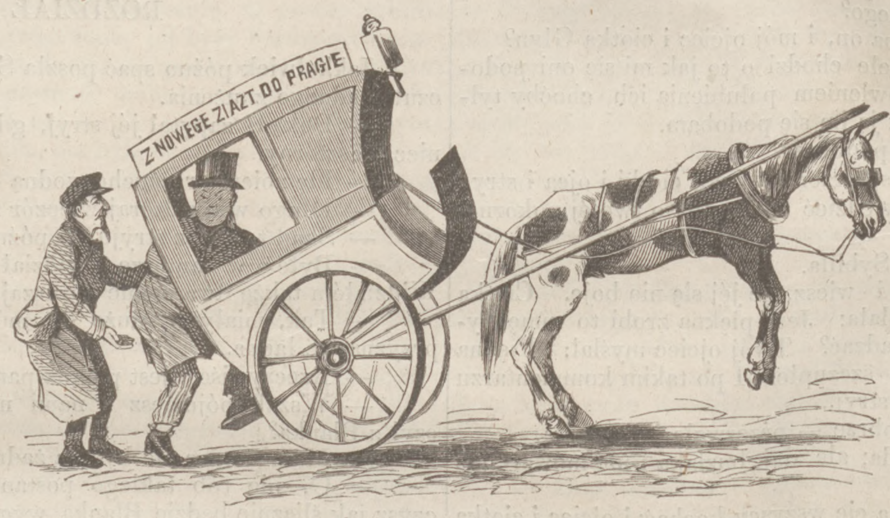
— Bardzom obowiązana za kazanie — rzekła miss Glyn wstając; podziwiam nauki jakie dajesz swemu dziecku; jeżeli niestanie się najpróżniejszą dziewczyną w Irlandyi, to nie twoją będzie winą. Powiadam ci to co myślę. Panna Cains jest o wiele od niéj piękniejszą i może ją zaćmić; a że zechce to zrobić o tém nie wątpię, mam ją bowiem za fałszywą i przebiegłą. Ale umywam ręcę od wszystkiego, niech się Sybilla ubiera czarno, żółto lub kraciasto; niech pyta się panów jak wysoko ma przyczepiać falbany, ja się już w to mięszać nie będę.

To powiedziawszy, miss Glyn wstała i opuściła pokój.

Kennedy zaśmiał się wesoło, Sybilli na płacz się zbierało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HUMORESKA.



Lekkość koni przy omnibusach Warszawskich.

NOWINY.

Powieść historyczna T. T. Jeża, — drukowana w Kłosach, została przetłumaczona na język ruski. Po dobno przygotowane są już w rękopiśmie przekłady tego znakomitego utworu, na wszystkie prawie języki europejskie.

W Teatrze Rozmaitości, przedstawiono w d. 21 b. m. poraz piérwszy Komedję w 3-ch aktach, wierszem napisaną przez Feliksa Szobera. W komedyi téj występowali pp. Żółkowski i Rapacki.

Scena tujejsza przygotowuje nadto dramat: Powieści Królowéj Nawarry Aleks: Dumasa ojca (na benefis pani Modrzejewskiéj) i jednoaktową komedyjkę Al. Fredry syna, p. t. Mentor, w któréj debiutować będzie artysta dramatyczny teatru Krakowskiego Feliks Benda.

Znany z pięknych przekładów poezyj Wiktora Hugo, p. Klemens Podwysocki, rozpoczął obecnie tłomaczenie Moljerowskiego Świętoszka. Jest to praca bardzo ważna i bardzo na czasie. Wiadomo bowiem że tylko brak dobrego przekładu stanowi jedyną przeszkodę do przedstawienia na naszéj scenie, tego arcydzieła nowszéj komedyi

P. Kazimierz Wojnisław Sawicz Zabłocki wydał poemat wierszowany p. t. Prawdopodobna historja. Jestto rymowana satyra błota społecznego. Autor posiada bardzo wykwintną zdolność obserwacyi.

Były artysta sceny tutejszéj Józef Rychter, zaangażowanym został na 10 gościnnych wystąpień do Krakowa.

Koniec kwartału 3-go 1871 roku.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 14 (26) Сентября 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.